

JACEK CHROBACZYŃSKI

## NOWA KSIĄŻKA O HIPISACH<sup>1</sup>

Zapewne żaden z hipisów, zarówno tych ideowych, przejętych i co nieco rozumiejących czym jest zjawisko hipis w dekadzie lat sześćdziesiątych w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych, jak i tych zwyczajnych, mało wykształconych, przeciętnych i powierzchownych, przypadkowych nie zdawał sobie sprawy, że po kilku dziesiątkach lat staną się obiektem postępowania naukowego. Zdaje się, że nawet ci najwybitniejsi (?) najbardziej rozpoznawalni – użyję pseudonimów – „Prorok” i „Pies”, nie przypuszczali, że także o nich jako hipisach pojawią się solidne prace naukowe. A dopowiedzieć warto, że jeden z tych rozpoznawalnych, to dziś dobry historyk, profesor uniwersytecki, specjalista z historii najnowszej. Nie przypuszczano też zapewne, że słowo hipis, w zasadzie z pejoratywną konotacją, stanie się przedmiotem poważnej refleksji interdyscyplinarnej. Ale uważam, właśnie ten kontekst, a przede wszystkim naukowe spojrzenie na zjawisko kulturowe, w jakimś stopniu również i społeczne za wielce chwalebny. Z szacunkiem odnoszę się do autora, bowiem, jak sądzę, trafnie zdefiniował problem, trafnie go zdiagnozował, solidnej poddał analizie na podstawie ogromnej i wszechstronnej kwerendy źródłowej. Przy czym wykazał się też sporą erudycją, gdyż – powtórzę – problem ma charakter interdyscyplinarny i narzędzia historyka nie zawsze wystarczają.

Refleksja zatem wprowadzająca do dyskursu z autorem, ale i z problemem jest tu jednoznaczna – trafnie zdefiniowane pole badawcze, kawałek solidnej pracy historyka. Autor, bez wątplenia, zasługuje na pochwałę. Co, rzecz jasna nie oznacza, że nie ma w tej pracy fragmentów, opinii, ocen czy diagnoz dyskusyjnych, czy wręcz kontrowersyjnych, definicji nie zawsze trafnie zasto-

<sup>1</sup> Bogusław Tracz, *Hippiesi. Kudłacze. Chwasty. Hipisi w Polsce w latach 1967–1975*, Instytut Pamięci Narodowej, Wydawnictwo Libron, Katowice–Kraków 2014, ss. 564.

sowanych, że nie ma kontrowersji interpretacyjnych. Ale to wszystko nie podważa oceny zasadniczej, tej najważniejszej, dającej w końcu autorowi prawo do zasłużonej satysfakcji.

Moje uwagi recenzenckie składają się z dwu części – pierwszej, poświęconej koncepcji/konstrukcji pracy, warsztatowi historyka, a nawet szerzej, dyskursowi metodologicznemu z autorem, ale także podstawie źródłowej wykorzystanej przez autora, interpretacji i wyjaśnianiu samego zjawiska, ocenom, opiniom i wnioskom. Przyznajmy: problem, który autor definiuje jako „subkultura hipisów” wymaga wielu narzędzi, odczytania nie tylko historycznego, ale też i w zakresie specjalistycznej literatury z innych dyscyplin, a to z kolei powoduje wielowątkowość, rwanie tychże wątków, kontekst szerszy niż tylko perspektywa tytułowa „w Polsce”. Wreszcie, co również nie ułatwiało zapewne pracy autorowi, ale to pewien wyróżnik warsztatowy historyka dziejów najnowszych – pamięć, „żywa” tkanka środowiska, dziś sześćdziesięcioparolatków – osób statecznych, w zróżnicowanych konfiguracjach osobistych, czasem „po przejściach”, jak w piosence: „kobieta z przeszłością, mężczyzna po przejściach”, i ze zróżnicowanym, w następstwie, stosunkiem do tego, w czym uczestniczyli w drugiej połowie lat sześćdziesiątych i na przełomie siedemdziesiątych. Wreszcie to biografie, w tym i biografie osób żyjących. Oczywiście, bez biografii, bez nazwisk „nie ma historii”, szczególnie zaś dziejów społecznych. Ale biografia to również i ochrona danych osobowych, delikatność badacza, szacunek do osoby, kontekst prawny. Wreszcie to potknięcia życiowe, szczególnie w perspektywie poczynań aparatu przemocy państwa niedemokratycznego przeciwko szeregu spośród tych osób, zakwalifikowanych jako „hipisi”. Na końcu tej refleksji warto też zwrócić uwagę na *oral history* – niekwestionowaną możliwość tylko historyka dziejów najnowszych, „wywołania źródła historycznego” (relacja, wywiad, ankieta). Nie zawsze jest to oczywiście możliwe, bo bohaterowie czy antybohaterowie, dziś w innej osobistej, i nie tylko, sytuacji życiowej, zawodowej, środowiskowej, społecznej nie muszą sobie tego życzyć. To wszystko, a także sporo innych uwarunkowań podpowiada, że jeszcze może za wcześnie, że mogą być kłopoty. Ale przecież prace historyków powstają i będą powstawać, muszą powstawać. Także i podobne do tej, którą recenzuję. Zachęcają badaczy nie tylko problemy i zagadnienia, ale też osoby, osobistości, dynamika procesu historycznego, „kontrowersje i konflikty”, by użyć tytułu jednej z prac historycznych. Przykłady pokolenia „Kolumbów”, marcowego `68, pokolenia sierpnia `80 czy JP II, zachęcają. Choć pamiętam też, że dyskurs poświęcony pojęciu i zakresowi pokolenia jest zróżnicowany. Nie wszyscy autorzy uznają istnienie pokolenia (por. np. refleksje na ten temat prof. Jerzego Jedlickiego). Dlatego myślę, że ten kontekst socjohistoryczny i antropologiczny przede wszystkim, tj. „pokolenie” (?) które było „otarło się” lub spotkało z hipisami – to atrakcyjne, interesujące pole badawcze.

Część drugą recenzji poświęcam uwagom bardziej szczegółowym, również krytycznym. Także dyskursowi i polemice z autorem. A wynika to z głębokiego przeświadczenia, że recenzowana praca, może po prostu uruchomić interesujący dyskurs dopełniający, weryfikujący.

### Koncepcja pracy. Podstawa źródłowa, warsztat historyka

Problem zasadniczy, jak sądzę – czy hipisi („hippis”) w Polsce dekady gomułkowskiej, to mikro sprawa czy maxi problem? Autor niezbyt zadowolająco, moim zdaniem, stawia to kluczowe pytanie, a przede wszystkim nie stara się go solidnie przeanalizować. Skupia się przede wszystkim na opisie („narracja opowiadająca”), niezliczonej faktografii, szczególe, statystyce (jeżeli to możliwe). Ale dylematu chyba w pełni nie rozwiązuje. Być może, na tak sformułowane pytanie jeszcze nie można odpowiedzieć. Lektura jednak opasłego tomu przekonuje, że to naprawdę poważne zjawisko – moim zdaniem – rodzaj *quasi*-ruchu, subkultura – wielość pojęć też nie służy pogłębionej refleksji, wskazując jednocześnie, że jeszcze sporo przed badaczami. To również dla autora kłopot w perspektywie oceny, a oceniać – dopowiem – historyk powinien, również krytycznie. Być może to efekt tego, o czym wspominałem wcześniej – wielu spośród hipisów jeszcze żyje, czasem zdecydowanie inaczej niż deklarowali wtedy. Czasem nie chcą, nie życzą sobie, aby im o tym przypominać, pytać o „tamten czas, tamto doświadczenie i tamte postawy czy zachowania”. Powstaje dyskomfort, także dla badacza/autora. Ale historyk – to mocno zaakcentuję – ma wyjaśniać proces historyczny (pytanie zasadnicze przecież, które stawia brzmi: dlaczego), a nie tylko go rejestrować, porządkować czy hierarchizować (kiedy, gdzie, jak). My historycy nie uprawiamy przecież matematyki czy fizyki, nie dysponujemy laboratoriami, gdzie doświadczenie zawsze można powtórzyć. Rzadko liczymy, ważymy, dodajemy czy odejmujemy, ale przecież historia to – póki co – solidna jeszcze dyscyplina naukowa i akademicka, dlatego dyskurs w jej ramach jest fundamentem dalszego rozwoju. Mamy jednak ten rodzaj komfortu intelektualnego, że nie wszystkim wszystko musi się laboratoryjnie, a tym samym i „wynikowo” zgadzać. Na tym polega subtelna różnica pomiędzy dyscyplinami empirycznymi a humanistycznymi, czego niekiedy, niektórzy, w tym i ważni decydenci, nie rozumieją. Dlatego ta recenzja wpisuje się również i w ten ton refleksji metodologicznej – solidnego, otwartego dyskursu z autorem.

Kolejny problem – aparat pojęciowy, który dla kręgu „hipis” się pojawia: „ruch”, „środowisko”, „subkultura”. Nie są to przecież pojęcia równoważne czy adekwatne, co autor oczywiście rozumie, ale ma z tym poważny kłopot. Zazwyczaj używa ich w pracy wymiennie, co można uznać za pewien rodzaj potknięcia

metodologicznego. Nie sądzę, aby uprawnionym pojęciem było „ruch” – moim zdaniem użycie takiego pojęcia wymaga uzasadnienia znacznie szerszego – zorganizowanie, struktura, jakiś rodzaj kierownictwa/przywództwa. Znamy przecież takie zjawiska, które opisujemy jako ruch – np. „ruch Solidarność”. Trudno by znaleźć między nimi, tj. hipisami i Solidarnością jakiegokolwiek zauważalne *iunctim*. Uważam zatem, współczując oczywiście autorowi, że gdy mowa o hipisach w Polsce, to powinniśmy mieć na myśli przede wszystkim coś bardzo luźnego, raczej przypadkowego lub powiązanego właśnie bardzo luźnymi i nie zobowiązującymi do niczego związkami, relacjami, nawet przyjaźniami, pewnie też i ambicjami, choć zapewne bardziej – znajomościami. Uważam, że więcej tam było pozy, nawet buntu, jakiejś postawy czy wyboru „na nie”, niż „ruchu”. Więcej snobizmu, ale i zagubienia (życiowego, społecznego, rodzinnego). Może, co najwyżej był to właśnie *quasi*-ruch. Socjohistoria podpowiada mi, że pojęcie „ruch”, używane przez autora jest pewnym metodologicznym nadużyciem. Nawet jeżeli mamy na uwadze zjawiska nieformalne (ruch nieformalny). Pojęcie zaś, też z pewnymi ograniczeniami, „środowisko” wydaje mi się tu bardziej adekwatne, choć też nie w pełni zasadne na nazwanie polskich hipis. Ta przypadkowość podpowiada też, że gdyby świadomie powstawał ruch, to zapewne znaleźliby się jacyś jego organizatorzy, przywódcy, kierownicy, wreszcie struktury. Kto by to zresztą wymyślił – przypomnę ważną uwagę autora: zdecydowana większość polskich hipisów to ludzie bardzo słabo lub wcale niewykształceni – ruch potrzebuje zaplecza, także intelektualnego, niezłej logistyki. A nawet tych najbardziej znanych – „Prorok”, „Pies” trudno by było za takich uznać, choć akurat wykształceni byli. Konsekwencją byłoby na pewno też innego rodzaju kombatantwo hipis, które właściwie nie występuje, w przeciwieństwie do „kombatantwa” np. solidarnościowego – moim zdaniem nieuprawnionego, bowiem kombatant, definicyjnie, to zupełnie ktoś inny. Byli hipis, nigdy do tego zresztą nie przywiązywali wagi, nigdy o to nie walczyli, nie akcentowali, skłonny byłbym nawet do twierdzenia, że w wielu przypadkach woleliby, aby nikt im tego też nie proponował, nie przypominał czy eksponował.

Wiem, że to dylematy niełatwe, ale dyskurs naukowy właśnie na tym powinien polegać, stąd te uwagi w recenzji.

Niezwykłym atutem pracy jest jej podstawa źródłowa, co dla badań historycznych stanowi fundament. Autor właściwie, jak sądzę, dotarł niemal do wszystkich znanych nam materiałów źródłowych. Imponuje w pracy *Wykaz źródeł i literatury*. Co więcej, autor świetnie panuje nad całością (tylko drobne, nieliczne powtórzenia w pracy), wspomaga wątki analizy także znakomitą erudycją i dobrym piórem. To narracja czytelna, praca dobrze napisana. Choć, moim zdaniem, trochę „przegadana”. Uważam, że pewne fragmenty, rzeczywiście interesujące (kontekst amerykański czy zachodnioeuropejski) można

by poważnie skrócić, bez straty dla całości. Wszak chodzi o polskich hipis, którzy przecież nie mieli niemal żadnych kontaktów z USA czy zachodnią Europą. Dopowiem: polscy hipisi, to na pewno nie przedłużenie, kontynuacja hipisów amerykańskich czy zachodnioeuropejskich. PRL tamtego czasu, to państwo reżimu nadal zamkniętego, autorytarnego i opresyjnego, pod pełną kontrolą partii komunistycznej, wykorzystującej wszystkie narzędzia przemocy. Państwo niechętnie wymianie (poza kierunkiem tzw. demokracji ludowych, „pociągi przyjaźni”), otwartej, niczym nieskrępowanej współpracy młodzieży. Państwo Władysława Gomułki, prowincjonalnego kiedyś, trzeciorzędnego działacza związkowego, z mentalnością, którą trudno by było zakwalifikować jako otwarta, czy intelektualnie poukładana. Ot, trzeci garnitur b. KPP, który doszedł aż na szczyt polsko-polski. Jego „Wiesław, Wiesław” w i tuż po Październiku 1956, to był raczej epizod, niż ustabilizowana postawa i przekonanie. Konflikty Gomułki i PZPR drugiej połowy dekady lat sześćdziesiątych potwierdzają to bezdyskusyjnie (List 34, konflikt z Kościołem o milenium 1965–1966, „zderzenie” Marca 1968, agresja przeciw Czechosłowacji czy dramat Grudnia 1970, a także „zderzenie” partyjno-partyjne – List otwarty do Partii Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego). Trudno się zatem dziwić, że „Gomułka a hipis”, to niewątpliwie, sam w sobie, już interesujący problem – kulturowy, mentalny, ideologiczny. Koszmar.

Jednakże, pod rozwagę autora poddałbym sugestię poszerzenia jednak, pewnych wątków dotyczących analizy PRL. Dla pokolenia hipisów to oczywiście kontekst doświadczenia osobistego, w rezultacie pamięci i jej aplikacji. Natomiast dla młodego czytelnika dzieje PRL wymagają szczególnej narracji, także i dlatego, aby hipisi nie zostali zdefiniowani wyłącznie właśnie jako kontrkultura czy subkultura – moda, muzyka, długie włosy, „biżuteria” (a więc „zewnętrznosc”), tylko by wskazać zderzenia, szarość „małej stabilizacji”, niełatwej codzienności ich i ich rodziców, dziadków, polaryzację postaw. Także zróżnicowaną pamięć. Moim zdaniem za mało solidnej refleksji nad samym systemem PRL-owskim w całej pracy. PRL nie była państwem czarno-białym, lecz organizmem skomplikowanym, a już w sposób szczególny skomplikowanym w perspektywie dziejów społecznych. Także w dekadzie lat sześćdziesiątych. Autor trafnie zauważa, że w tym czasie dorosły pierwsze pokolenia urodzone już po wojnie, „bez pamięci” wojny, a przede wszystkim stalinizmu, dla których cezura Października 1956 niewiele znaczyła. Ale w kraju ta cezura znaczyła wiele. Ich dojrzewanie w połowie dekady gomułkowskiej oznaczało nie tylko „zderzenie” z samym systemem, ale także i „zderzenia” w rodzinie, w kręgu bliskich i znajomych, także „zderzenia” z historyczną pamięcią bliskich oraz historią czy literaturą nauczaną w systemie szkolnym. To było pierwsze polskie pokolenie bez pamięci wojny i okupacji, bez pamięci brutal-

nej stalinizacji i – tym samym – bez zobowiązań z tego wynikających, jak np. pokolenie Kolumbów. Już to wobec wojny i okupacji, już konspiracji czy powstania warszawskiego. Wokół niego zaś znalazły się przecież także i te z tamtą pamięcią i tamtym doświadczeniem, hierarchizacją, strachem. W domu, w szkole, najbliższym otoczeniu, sąsiedztwie. To wywoływało spór, niejasność, niewiarę, podważało często autorytet w rodzinie, szkoła bowiem, tamta szkoła i tamto pokolenie nauczycieli, także z dorobkiem przedwojennym i wojenno-okupacyjnym, a czasem i konspiracyjnym autorytetem, uczyło, bo musiało, wiedzy zmanipulowanej, fałszywej (np. „Polacy losami wojny rzućni w głąb Związku Radzieckiego”). A przecież nauczyciele w tamtym czasie cieszyli się, bez wątplenia, znacznie większym niż dzisiaj autorytetem i szacunkiem. Więc w szkole: „Niemcy zamordowali polskich oficerów w Katyniu”, a w domu: „Co za bzdury opowiadasz, jacy Niemcy, przecież przeżyłam/przeżyłem wojnę, czytałem, widziałem, wiem” (uwaga źródłowa ze zbiorów autora recenzji). Dla kontekstu zjawiska polskich hipisów wydaje mi się to też ważne, może nie najważniejsze, ale ważne, mimo wszystko.

Czasem pojawiają się u autora dość swobodne, moim zdaniem, za swobodne i nie do końca uprawnione, uogólnienia – np. Ameryka, amerykańskość, europejskość. To inna Ameryka i inna Europa niż te dzisiejsze – może należało to czytelnikowi również uzmysłowiać i nieco szerzej wyjaśnić, a może tylko zwrócić uwagę?

W niektórych akapitach pojawiają się, moim zdaniem, za długie cytaty. Historyk nie powinien zasłaniać się cytatami, lecz solidnie analizować źródła.

Czasem brakowało mi w czasie lektury solidnych podsumowań rozdziałów, mocniejszych autorskich komentarzy.

Ale uwagi te nie podważają warsztatowej tezy zasadniczej: autor przygotował swą dysertację w sposób przejrzysty (koncepcja, tezy), dogłębnie przemyślany. To również praca solidnie podbudowana źródłami i literaturą przedmiotu. Autor swobodnie porusza się po problematyce, nie ma z tym najmniejszego kłopotu, po prostu znakomicie zna problem. Dlatego uważam, że ta rozprawa to ważne osiągnięcie badawcze, świetny przyczynek do społecznych, a nawet mentalnych dziejów Polski Ludowej (PRL).

### Uwagi szczegółowe (wstęp, rozdziały, zakończenie, źródła i bibliografia)

W rozdziale I autor trafnie rozpoczyna swą analizę od „*Baby boom*”. Wspominałem już o tym, ale rad bym, by autor pewne akapity jeszcze uzupełnił bowiem, w konsekwencji, dla dekady lat sześćdziesiątych, to ważna społeczna cezura w dziejach PRL-u – pierwsze dorastające pokolenie PRL. Inne mimo wszystko, niż pozostałe. Inna dorosłość i samodzielność, inne wybory, inne

konteksty i inna pamięć. Taka konstatacja, to bez wątpienia, właściwy klucz do analizy zjawisk, którymi autor w swej dysertacji się zajmuje. Akcentu, jak sądzę mocniejszego, wymaga też spostrzeżenie, że w tym samym czasie zmieniło się również państwo, państwo PRL-owskie (por. *Anatomię buntu...* Andrzeja Friszkego). Polscy hipisi wpisują się w tę sekwencję i państwa i społeczeństwa, są przecież jego częścią, bo nie mają (nie mogą mieć – reżim) innego. Stąd przede wszystkim kontekst postawy przystosowania, znacząco dojmującej przed postawą oporu, jako wyborem życiowej strategii w postawach i zachowaniach społeczeństwa, także i tego pokolenia. Trudno zresztą by było inaczej, rodzice pierwszego PRL-owskiego pokolenia to przecież pokolenie wojny i okupacji oraz brutalnej stalinizacji, często ze stratą osobistą (np. drobne warsztaty rzemieślnicze, które „uspółdzielczono”). Chronią swe dzieci i trudno się temu dziwić. Postawa przystosowania będzie postawą najbardziej typową w PRL-owskich dziejach Polski.

Autor, w tej części swej pracy, zwraca przede wszystkim uwagę na miasta, precyzyjniej – duże (w kontekście polskim oczywiście) miasta, tym samym spogląda na młodzież zdecydowanie miejską. Pomija wieś. Niesłusznie, to bowiem czas też niemałych przemieszczeń, może nie aż tak olbrzymich, jak w okresie planu 6-letniego, ale jednak przemieszczeń ze wsi do miasta, szczególnie ludzi młodych – szkoła, studia, pierwsza praca. To ważny akapit socjohistorii PRL-owskiej. Dopowiem: wieś raczej nie kształtowała, ekspozowanego przez autora w pracy, „miejskiego” syndromu Piotrusia Pana. To uczyniło dopiero miasto, także i w przypadku, przynajmniej części, młodzieży wiejskiej. Refleksja pogłębiona zapewne bardzo by się tu przydała. Wystarczy dziś spojrzeć na Nową Hutę, gdzie pierwsze pokolenie jej budowniczych, dzieci wiejskich przede wszystkim, jest najbardziej doświadczonym PRL-owskim pokoleniem, najczęściej przegranym ekonomicznie, mimo, że „Huta żyje”, a sprywatyzowany kombinat pracuje i produkuje. Ten kontekst *social history* wydaje mi się godzien wyraźniejszego podkreślenia.

Kolejny problem, zasadnie akcentowany w dysertacji, to zjawisko lewicowości, także w perspektywie europejskiej. Przypomnijmy, Europa powojenna była biedna, niekiedy bardzo biedna, aż niemal do połowy lat sześćdziesiątych (por. T. Judt, *Powojnie...*), a bieda zazwyczaj sprzyja lewicowości, także i tej intelektualnej, szczególnie po wsparciu przez europejską lewicę intelektualną stalinizmu. W Ameryce (Stany Zjednoczone, zaś w Ameryce Południowej dopiero teologia wyzwolenia, zniszczona przez Kościół katolicki, stanie się takim, ważnym punktem odniesienia) takie zjawiska nie dominowały. Warto i o tej różnicy pamiętać. Europejskie państwo dobrobytu – to dopiero przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, w Ameryce Północnej (ale nie Południowej) znacznie, znacznie wcześniej. Tu, autor zasadnie, wskazuje też na cezurę

Wietnamu, niezwykłego doświadczenia Ameryki i Amerykanów, co widzimy niemal do dziś, nie tylko w osobistym doświadczeniu czy pamięci pokolenia, ale także w literaturze, filmie, szerzej – kulturze, w konsekwencji w postawach i amerykańskiej pamięci oraz świadomości. To znamieny apostrof w amerykańskiej historii społecznej, złe doświadczenie, zła pamięć. Nie da się tego porównać ani z Europą, ani tym bardziej z Polską. Dlatego, między innymi, hipisi w Stanach i hipisi w Europie Zachodniej to światy mimo wszystko bardzo różne, a świat polskich hipisów w najmniejszym stopniu nie przystawał ani do jednego, ani do drugiego – konsekwencją zaś była raczej powierzchowność, jakieś zasłyszane audycje, muzyka z radia Luxemburg. Osobiście zwróciłbym np. uwagę na europejską, w mniejszym już stopniu amerykańską, perspektywę „roku Afryki”, także na czarno-białą, cenzurowaną telewizję w Polsce, kształtującą postawy i zachowania większości młodzieży. Również szkołę, przede wszystkim średnią (licea i technika), gdzie zawitała większość z tego pokolenia Polski Ludowej. Taką cezurą, raczej dla wybranych jedynie, co autor podkreśla, może też być koncert Rolling Stonsów w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki. Ale czy to miało „przełożenie”, uogólnienie, wpływ na postawy większości młodzieży? Warto, by autor się nad tym zastanowił. Bo konstatacja, że takie wydarzenie miało miejsce w Warszawie – to jeszcze nie pełne wyjaśnienie procesu historycznego, w tym przede wszystkim jego części społecznej. Gdzieś tutaj zapewne tkwi też cezura języka angielskiego (teksty, wspomniane radio Luxemburg). Polski odbiorca nie był anglojęzyczny, w wielu szkołach średnich dominował przecież język rosyjski, trudno było o nauczycieli tego języka. Znam to dobrze z własnej perspektywy, miasteczka powiatowego w Bieszczadach.

Trafnie natomiast autor zwraca uwagę w swej analizie na problem seksualności (wyszła z domowych, tajemniczych przecież, pieleszy, trochę się „otworzyła”, zaistniała „na zewnątrz”, ale tylko trochę, ale nie bardzo rozumiem tytuł (s. 59) „tak zwana”, dlaczego tak zwana? Przecież „antykoncepcja” (s. 59) nie była „tak zwaną”, tylko realną), choć podkreśliłbym zjawisko szersze – problem ciała (kobiecość, sylwetka, mini, nowe dziewczęce fryzury, także męskość nieco inna, z długimi włosami, kolorem, koszulami w kwiatki itd.). Nie traciłbym też z pola widzenia tej analizy – rynku. Pytanie: czy bardziej prymarna nie była tu przypadkiem przysłowiowa kasa, a dopiero później idea nowej muzyki (The Beatles), w następstwie strój, fryzura? Natomiast w kwestii muzyki – pełna zgoda z autorem, z jednym uzupełnieniem. Autor jednym tchem wymienia (s. 62): „Jazz, rock and roll, blues, blues – rock...”, zapominając, że pokolenie dekady lat sześćdziesiątych – zwracałem już na to uwagę – „przeskoczyło” (żłobek, przedszkole) jazz, zaczynało zaś bardziej od rock and rolla. Więc to *iunctim* jest tu chyba raczej kontrowersyjne.



Tam zaś, gdzie autor porusza problematykę tzw. krajów demokracji ludowej, dobrze by było podkreślić, iż obok brutalnego systemu sowieckiego, narzuconego tym krajom, istotą było zamknięcie obozu sowieckiego „do wewnątrz”, a nie tylko „na zewnątrz” – wzorzec sowiecki, problem np. kultury. Choć i tam pojawiała się przecież tzw. kultura wysoka, zazwyczaj lądująca w łagrze, o czym – na marginesie – zdecydowana większość tamtego pokolenia gomulłowskiej dekady nie wiedziała, bo i skąd. Dlatego, w konsekwencji, niektóre uwagi autora są tu dość powierzchowne, warte jednak głębszego namysłu i dopełnienia.

Mam też pewną wątpliwość co do tezy autora (s. 67, 68): „Bezpośrednimi [czy rzeczywiście?] poprzednikami ruchu hippisowskiego w USA byli beatnicy, słynni «poeci wyklęci»...” Moja wątpliwość: czy jeden z nich, ważny Allen Ginsberg, był powszechnie czytany, rozumiany przez Amerykanów z roczników 1944, 45, 47, 48? Nie sądzę, konteksty były tu inne – to pokolenie tej poezji nie rozumiało. Miało bowiem swoje doświadczenia inne, inną pamięć. Nie było przecież «wyklęte». I na marginesie: Ginsberg był, i nadal jest, trudny w recepcji, szczególnie bez znajomości kontekstów tamtego czasu. Pokolenie zaś hipisów amerykańskich miało swoje dramatyczne doświadczenie i dramatyczną pamięć – Wietnam, to jego zasadnicza klisza. I to ona była tu bez wątpienia wyróżnikiem, a nie poeta pokolenia wcześniejszego. Tu, zresztą autor, trafnie i zasadnie, sytuuje ważną część tego kontekstu – „narodziny hipisów”, „filozofię džinsów”, a także symbolikę zewnętrzną, wręcz osobistą – długie włosy mężczyzn. Dodaje też muzykę (zasadnie) i narkotyki (myślę, że nieco mniej zasadnie) – narkotyki w amerykańskiej codzienności to przede wszystkim pochodna Wietnamu, a więc czynnik wtórny, a nie równoważny muzyce i długim włosom oraz – nie zapominajmy – „mundurowi džinsowemu”. Częściowo ten „mundur” przełamywały kolorowe stroje (głównie górne partie ciała – tuniki, koszule, buty, spodnie tzw. dzwony, poszerzane, niekiedy znacząco, u dołu), džinsy stawały się, poprzez swą praktyczność, historię i symbolikę w związku z tym, częścią także i hipisowskiego stroju. Osobiście jednak wyróżniłbym przede wszystkim włosy, w tym tapir/utapirowanie i skudłaczenie – najprostszy sposób, by się odróżnić, osobisty, nie wymagający jakichkolwiek zabiegów, jak np. strój. Tu kontekstem i wskazówką zarazem zawsze pozostaje musical *Hair* – nieprzemijający, wręcz nieśmiertelny. Dlatego „hipisowski indywidualizm” – to nie idea (s. 78), jak twierdzi autor, a raczej chęć zaistnienia, zwrócenia uwagi, „inność”. Dzięki włosom, później strojowi, wreszcie muzyce było to rzeczywiście możliwe, szczególnie w dość purytańskiej, prowincjonalnej przede wszystkim Ameryce. Następtwem była oczywiście postawa *Flower Power*. Ale to nie przesądza, jak uważam, że idee i poglądy hipisów amerykańskich – to raczej, szczególnie w tym początkowym okresie, dość przypadkowy

zestaw różnych opcji. Hipisi niczego tu nie wymyślili – przecież znacznie łatwiej być przeciw niż za. Zatem, nie ma co tworzyć z hipisów amerykańskich formacji intelektualnej, ważnej składowej np. w historii myśli politycznej czy społecznej, a nawet kulturowej. Tam nie zaistnieli – autor trafnie w swej narracji to rozpoznaje i akcentuje. Choć pole analizy mógłby nieco rozszerzyć – np. dziś niemal nic trwałego z tego ruchu, poza biografiami i kliszami/obrazkami nie pozostało, nie wpisało się do *uniwersum*. To nie było pokolenie np. kultury odrodzenia czy oświecenia, to nie była elita umysłowa. Dopiero po latach, część spośród jej przedstawicieli, stawało/stało się elitą. A jeżeli dzisiaj, próbuje się idealizować to zjawisko, to raczej dość powierzchownie, bez należytych argumentów. I, na szczęście, bez kombatanctwa, cechy szczególnej, np. w polsko-polskiej perspektywie ruchów kontestujących, postawy oporu.

Także i dlatego Europa Zachodnia była inna, doświadczenia europejskiej młodzieży też były inne niż amerykańskiej. Również pamięć, w konsekwencji inaczej kontestujące postawy i niewątpliwie inne zjawisko „hipizmu”. Autor, zasadnie, problem zauważa, ale go mocno nie artykułuje. Nawet w zakończeniu rozdziału, którego w istocie brakuje. To dlatego rozdział jest bardziej przeglądowy niż badawczy. To zresztą rozumiało, autor błysnął tu świetną erudycją, dobrym piórem, choć pozostają pewne pola skłaniające do dyskursu, konfrontacji, co starałem się wskazać w uwagach.

Rozpoczynając zaś rozdział II, autor mógłby pokusić się o wprowadzenie w narracji, obecnego przecież w literaturze przedmiotu, choć kontrowersyjnie rozumianego, pojęcia „stalinizm” (tu za Krystyną Kersten: „historycznie ukształtowany system komunistycznego totalitaryzmu 1944/45–1956”). Przeglądowość pierwszej części rozdziału – bikiniarze, git-ludzie, ważna i potrzebna, sprawnie zredagowana, erudycyjna. Trafnie wskazana cezura, a przede wszystkim jej istota, Października 1956. Oraz analiza „małej stabilizacji” (T. Różewicz). To przecież kluczowy kontekst historyczny tamtego czasu, przy pozostawianiu „oczywistej oczywistości”, nie naruszonej przecież przez Październik`56, tj. doktrynalnego równania polityczno-ideologiczno-ustrojowego: „partia = państwo”.

Ale autor nie dostrzega problemu społeczeństwa, także w uwarunkowaniu rodzinnym w początkach lat sześćdziesiątych. To społeczeństwo było nadal słabo wykształcone – cezura awansu pozostawała matura, a nie studia wyższe (elitarne, dopiero po Marcu'68 zmieniło się to nieco, gdy wymuszono tzw. punkty za pochodzenie). To była typowość zjawiska. Dekada gomułkowska przyniosła natomiast zjawisko nowe – pierwszych absolwentów studiów wyższych (magistrów!) w wielu rodzinach. To dopiero to pokolenie zdołało uzyskać ten status – nie powszechnie oczywiście, ale już bardziej dostrzegalnie niż np. w dekadzie stalinizacji. Jeżeli tak spojrzymy na to zagadnienie, to pytanie:

skąd ta młodzież wcześniej mogła czerpać wzorce intelektualne? zdaje się ma odpowiedź: spotkała się z nimi dopiero w mieście, siedzibie uniwersytetu, politechniki, innej uczelni. Dostępne wspomnienia tego pokolenia potwierdzają tę tezę. W Polsce gomułkowskiej nadal dojmującą rolę pełniło małe miasto i wieś, także tamta/tamtejsza mentalność, relacje społeczne i uwarunkowania, świadomość. Kilka dużych (większych w istocie tylko) miast, z siedzibami szkół wyższych nie było powszechnie osiągalnych, ale sytuacja była bardziej dynamiczna niż dekadę wcześniej. Ten kontekst wydaje mi się tu istotny, ze względu na wskazywany przez autora przekrój socjalny polskich hipisów – raczej niewykształceni lub słabo wykształceni. Trzeba znaleźć źródło takiej sytuacji. Zawodówka i technikum – dawały w tamtym czasie więcej atutów niż liceum, tam młodzieży zatem było więcej. Miasto/miasteczko nadal przecież było siedzibą szkoły średniej – wyprawa ze wsi „po naukę” nadal była „wyprawą” – internat lub dojazdy, dyscyplina, praktyki w fabryce. Licealiści „mieli” inaczej, ale w pejzażu tego pokolenia nie dominowali.

To pewna skaza w analizie tej części monografii, warto może zjawiskom socjohistorycznym, analizując tak skomplikowany problem, jakim zajął się autor, przyglądać się bardziej wnikliwie, a przede wszystkim analitycznie. I jeszcze jedno – zasadnicze różnice pomiędzy miastem dużym, uniwersyteckim, a miastem małym (powiatowym zazwyczaj) – to często przepaść intelektualna – biblioteka miejska zaopatrzona tylko w młodzieżową tandetę, małe kino, czasem brak domu kultury, miejsca, gdzie można by się spotkać. Gdzie ci chętni mieli posłuchać/przeczytać, ba dowiedzieć się o Sartrze czy innych? Co prawda czasem przyjeżdżały tam znane zespoły – Czerwono-Czarni czy Niebiesko-Czarni, Niemen, ale raz, najwyżej dwa razy w całej dekadzie. Pamiętam to dobrze, bo urodziłem się i dwadzieścia lat mieszkałem w takim miasteczku, zanim nie trafiłem do Krakowa. I dlatego o badania nad tym problemem, nad tamtym wektorem codzienności i możliwości, ale również i bilansu skutków oraz atutów pokolenia się dopominam. Bowiem – powtórzę – to takie miasteczka w gomułkowskiej Polsce dominowały. Dlatego polscy hipis byli „stamtąd” przede wszystkim, a nie „stąd”, czyli z miasta dużego. Ci „stąd” – to nie była typowość zjawiska. To dla tamtego pokolenia, które w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, bądź na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych „przyszło” na studia otwierał się „inny świat” – nie tylko uniwersytecki, ale i kulturowy – od rzeczy najprostszych: jak konsumować obiad widelcem i nożem, aż po krakowski Stary Teatr, warszawski Teatr Powszechny, filharmonię itd. To powinno ułatwić dotarcie do sposobu myślenia, postaw i zachowań polskich hipisów. Pokolenie Marca '68 było w tym kontekście inne – studiowało, obracało się w zupełnie innym środowisku, dysponowało innymi relacjami i możliwościami, innymi atutami, także intelektualnymi. A wzajemne

przenikanie (np. student I roku historii UJ, Ryszard Terlecki – hipisem – to nie typowość zjawiska, a raczej jego nietypowość). Zdecydowały różnice, o których mowa powyżej, a które warto poddać wnikliwszej, niż autor w monografii, analizie.

Pozostała analiza tego rozdziału bardzo interesująca – moda, kluby, prasa, „wygląd polskiego bigbitowca” (s. 120, także n.). Tu na marginesie: dlaczego w całym opracowaniu tak mało o dziewczynach – hipiskach? I uwaga druga: większość polskich hipisów/bigbitowców, to przecież uczniowie, a szkoła „trzymała” dyscyplinę, i to bardzo (nie dla długich włosów, tak dla mundurków szkolnych i tarcz na lewym rękawie, tzw. trójki szkolne na ulicach po godz. 20.00, obligatoryjny szkolny ZMS, dyscyplina w szkole i w domu, Kościół itd.) – o tym wyróżniku też nie można zapominać. To dopiero studia lub praca dawały nieco więcej swobody. Ale tylko nieco więcej – więc wspomniane włosy, koszula w różyczki, „szyblety/bitelsówki”, jak pozwalały srodki lub mama/babcia znalazły materiał i uszyły. To jest codzienność – typowość polskiego „hipizmu”. Co zresztą autor dobrze rozumie. Dlatego – też powtórzę – kluczem do zrozumienia problemu „pierwszych polskich hipisów” są – moim zdaniem – włosy, a po nich strój, więc przede wszystkim „zewnętrzność”, a nie żadna idea, myśl, a nawet chyba bunt. Autor zasadnie to potwierdza. Bo najłatwiej było i włosy i strój posiadać, choć najczęściej nie było to tolerowane w domu, w szkole, na ulicy. Często wymagało też odwagi czy determinacji, więc, w jakimś stopniu i wiary.

Strona 136 i n. – teza Józefa Pyrza („Prorok”): „powstanie ruchu hipisowskiego w Polsce było procesem niezależnym od przemian kultury i obyczaju, jakie dokonywały się w tym czasie na Zachodzie i było «efektem poddmuchu Ducha Świętego»”. I teza badacza młodszego pokolenia Antoniego Dudka: „pojawienie się hipisów w Polsce w drugiej połowie lat sześćdziesiątych było owocem [sic!] kontaktów z Zachodem” – obie, zasadnie, i autorowi pracy i autorowi tej recenzji, wydają się „przesadnie skrajne”, a nawet tylko wydumane. Powiem więcej, teza Dudka nie ma żadnej podstawy merytorycznej, jest polityczno-ideologiczna, fałszywa, zaś Pyrz przesadza z „ruchem”, ale chyba trafnie zwraca uwagę na istotę zagadnienia. Natomiast chciałbym podkreślić dobrą analizę materiału źródłowego przez autora – to atut tej monografii.

Zabrakło mi również solidniejszego podsumowania tej części monografii. Czasem bowiem narracja autora sprawia wrażenie zredagowanej asymetrycznie – przeważa „opowiadająco-faktograficzna”, szczegół, kosztem tej ważniejszej, analitycznej, przyczynowo-skutkowej, wnioskującej i porządkującej zarazem. Szczególnie dotyczy to ostatniej części rozdziału.

Sformułowana zaś przez autora teza zasadnicza w rozdziale III jest ze wszech miar słuszna. Mocno zresztą wyartykułowana. Podzielam ten po-

gląd: „duże miasta [...] główne ośrodki rozwoju ruchu” (wolałbym nie „ruchu” tylko polskiego „hipismu”). Tu również zagadnienie statystyki – autor ma problem, zrozumiały (rozbieżne dane wielu źródeł), ale praźródłem pozostaje oczywiście problem metodologiczny, w szczególności definicyjny: kogo, w rzeczywistości, i dlaczego, w badaniach kwalifikujemy jako „polskiego hipisa”? Trudno tu o precyzję, bo szacunki (MO/SB – 1 tys.; prof. H. Smarzyński – 2,2 tys.; Kamil Sipowicz – 20 tys. – sic!) mogą bulwersować. Autor trafnie to zauważa i krytycznie ocenia. Dodając też zasadnie, że w tym czasie „słowo hipis [po prostu – J.Ch.] się upowszechniło”. Dodam, bo pamiętam, rzeczywiście w powszechnej, społecznej ocenie każdy młody człowiek we wspomnianej już „koszuli w różyczki” + długie włosy, to był hipis. „Merytorycznie”, rzecz jasna, niestety nie był hipisem, ale to problem do dalszych badań, autor trafnie to sygnalizuje. Przedstawia w tym rozdziale również bardzo dobrą analizę składu społecznego polskich hipisów. Ta analiza zresztą, wiele wyjaśnia. Dodałbym – warto pamiętać jak wyglądały ówczesne studia – dziesiątki godzin zajęć, obowiązkowych w istocie, zajęte także soboty, olbrzymie partie materiału, sporo „pamięciowego opanowywania”, sporo przedmiotów polityczno-ideologicznych (jest po Marcu`68), do tego jeden dzień w tygodniu zajęty od 7.15 do 19.00 „na wojsko” (mundury itd.). Dodam: student nie dysponował możliwością kserowania, wszystkie notatki, fiszki trzeba było zrobić odręcznie, na kartkach, co w przypadku humanistyki było niezwykle „czasożercze”. W przypadku zaś kierunków inżynierskich słynne i przeklinane „kreski”, czyli geometria wykresna. Sporo obligatoryjnych lektur, często, niestety, niemądrych, brak możliwości zakupu książek w księgarni (b. niskie nakłady), brak miejsc w bibliotekach. To był – powtórzę – czas „po Marcu`68” – trudny, niskiej jakości naukowej na uczelniach („marcowi docenci”, sporo „partyjniactwa”, punkty za pochodzenie, praktyki robotnicze). Cierpiała też z tego powodu również szkoła, nauczyciele i uczniowie. Te konteksty wydają mi się istotne dla zjawiska „hipis”, szczególnie w środowisku akademickim. Na dodatek – każde niepowodzenie w studiach kończyło się dla studenta niemal natychmiastowym poborem do czynnej służby wojskowej („dwa lata przerwy w życiorysie” – to powszechna ocena tego zjawiska). Zatem ten kontekst/konteksty są tu ważne, bowiem wyjaśniają szerzej i samo zjawisko, ale również i jego obecność nie tylko „w dużym mieście”, ale także w poszczególnych środowiskach tegoż miasta. Student w tym czasie nie miał czasu niemal na nic – jeżeli chciał się „utrzymać w biegu”. A większość chciała.

Konsekwencją jest tu oczywiście następstwo w postaci braku „idei, prądów” – jak to podkreśla trafnie autor. Mam bardzo wyostrzone zdanie – to był, gdy dziś analizujemy zjawisko, niebywały „galimatias” myśli (strzępków – ktoś gdzieś coś przeczytał, usłyszał, przypominam RES-y w bibliotekach nauko-

wych, a więc książki zakazane), idei/pseudoidei, jakichś „teatrów” (*vide*: moda na słynny beret Ernesto Che Guevary, w którym i studentowi historii Uniwersytetu Warszawskiego Antoniemu Macierewiczowi było do twarzy, później zastąpiony tzw. degolówką). Najbardziej chyba przejrzyście ideą – modną i powtarzaną/deklarowaną w zjawisku „hipis” była niewątpliwie lewicowość, cokolwiek, ktokolwiek pod tym pojęciem rozumiał. Nawet Ryszard Terlecki („Pies”), co trafnie wychwytuje autor, mówi o sobie-hipisie: „lewicowiec” (na marginesie – coś z tej „lewicowości”, dzisiejszemu p. posłowi R. Terleckiemu jeszcze zostało?). Uważam, że „lewicowość” w kraju biedy z „gospodarką niedoboru” była po prostu zjawiskiem typowym, a nie jakąś ekstrawagancją. To zresztą, jak uważam, w jakimś stopniu też nobilitowało – postawa „za biednym, pokrzywdzonym, prześladowanym, cierpiącym” (kontekst ewangeliczny, w tym środowisku, szerzej w kraju, też był tu solidnym wsparciem, pomimo partyjno-ZMS-owych wysiłków i działań). Większość społeczeństwa, i to zdecydowana, a tym samym i większość młodzieży, i większość polskich „hipis” – wywodziła się z biedy, żyła w biedzie i w ludowym katolicyzmie, mimo II soboru watykańskiego. I to bez widoków na poprawę jakości tego życia. Kontekst społeczny, zauważany przez autora w pracy ma swój ciężar gatunkowy i dobrze, że autor o tym pamięta. Choć wolałbym niekiedy bardziej stanowczy ton dla prezentowanych tez. Powtórzę, *summa* kontekstów (strój, włosy, jakoś tam i postawa) wyróżniały i nobilitowały, a w małym mieście, dodatkowo, były wyróżnikiem szczególnym – inność, obcość, wrogość, nieodpowiedzialność, chuliganeria (wszyscy, wszystkich znali). To była sekwencja łatwa do uchwycenia, wzmacniana przez „oficjalność”, społeczne relacje, ale i głęboko tkwiąca wewnątrz zdecydowanej większości społeczeństwa. Ono po prostu takie było, zaadaptowało się w większości do systemu. Trudno mu z tego powodu czynić zarzuty. Dlatego, gdy czytam, że hipisi pozostawili po sobie jakieś programy, idee, jakieś ideologie, jakieś struktury, to zaczynam rozumieć lepiej na czym polega raczej kombatanctwo, a nie ówczesne zjawisko „hipismu” – moim zdaniem, na wymyślaniu *post factum* i ugruntowywaniu tego wszystkiego czego nie było, ale by się przydało. W biografii, dla otoczenia, może dla rodziny? Tak było też ze środowiskiem polskich hipis, tak jest, zazwyczaj, w ich kombatanckich (nielicznych na szczęście) opowieściach rodem z bajkowego „zielonego lasu” (*Zielone wzgórza nad Soliną* – ładna piosenka z tamtego czasu). Te, jakoby, ideologie, programy, idee, ruch wreszcie – to, moim zdaniem, kombatancki fałsz, intelektualne nadużycie. Fałsz i nadużycie zresztą stworzone najczęściej przez funkcjonariuszy MO i SB w ich sprawozdawczości, mającej pokazać „sukcesy w walce z...”, „powagę sprawy, nad którą się pochylamy z uwagą”, „przetwarzane” przez PZPR i ZMS już w stosowne programy wychowawcze. Autor zachowuje tu powściągliwość, rozważę analityczną, wnioskuje po głę-

bokim namyśle. Rozumie, i to dobrze, zapyziałość PRL, biedę, partię/państwo, ale – moim zdaniem – trochę za płytko tłumaczy to czytelnikowi, szczególnie młodemu czytelnikowi. Dobrze jednak rozkłada akcenty, trafnie hierarchizuje, nie ulega emocjom, spogląda na ówczesny proces historyczny, używając frazy filmowej: „chłodnym okiem”. To spora zaleta historyka, szczególnie na tle różnych dziwnych pomysłów typu historia alternatywna, polityka historyczna, symbolika, pseudopatriotyzm (w tym nowe: „prawdziwy patriotyzm”) i tromtadracja, bądź ich odmiana – „patriotyzm genetyczny” (poseł Suski), „dzia-  
dek z Wehrmachtu” (europoseł Kurski) itd. Wpisuje polskich hipisów dobrze w czas i miejsce, konteksty, sytuuje właściwie w rzeczywistości, dojrzałe ocenia. To ważny rozdział w całej pracy, jeden z najlepszych.

Podobnie zresztą jak i rozdział następny, IV. Z refleksją: „Większość hipisów stanowili ludzie młodzi [to, jak by podsumował klasyk gatunku: „oczywista oczywistość”] w zasadzie bez wykształcenia czy jakiegokolwiek przysposobienia zawodowego” (s. 202). To interesująca analiza zjawiska, choć chciałbym też odpowiedzi na pytanie: ile w tym wszystkim było pozy, wygłupu, nieodpowiedzialności i niezrozumienia wielu rzeczy (brak wykształcenia), ale ile rzeczywistej kontestacji, formy oporu przeciw szarości PRL-owskiej, a przede wszystkim tęsknoty za tym, aby jak najszybciej porzucić szkolny mundurek, tarczę z nazwą szkoły, zapuścić włosy i..... nie dać się wojsku „pobrać”. Jak wyglądała symetria, rozumiem, że to raczej problem z informacją, ale może dałoby się cokolwiek z tej problematyki poddać pogłębionej refleksji badawczej? Namawiam do tego kolejnych badaczy. Autorowi bowiem zdecydowanie łatwiej przychodzi (rzetelny) opis, pojedyncze przykłady, gorzej niekiedy z syntezą czy wyjaśnianiem zjawisk. Ale, usprawiedliwiając – czy taka synteza w świetle dokumentacji, którą pieczołowicie zebrał, byłaby możliwa?

Autor wskazuje też na interesujące zjawisko, niekoniecznie wyłącznie związane z polskimi hipis, ale z szerszym kręgiem młodzieży – tj. autostop. Trafnie zauważa samo zjawisko, trudno by je zresztą zakwalifikować jako masowe, ale bez wątplenia w tamtym czasie widoczne, nagłaśniane (prasa, serial telewizyjny ze świetną rolą Wiesława Gołasa – kierowcy ciężarówki star – nie wiem czy dobrze zapamiętałem). Ale analiza to trochę powierzchowna – np. zabrakło mi istotnych, jak sądzę, konfliktów w rodzinie z powodu pomysłu wyjazdu, sporo nietolerancji (koedukacyjny wyjazd? – wykluczone; pamiętam wielkie posiedzenie kilkupokoleniowego sądu rodzinnego nad własnym pomysłem autostopowym). To były konflikty autentyczne, niełatwe w dyskursie, bo nie istniało powszechnie coś takiego jak partnerstwo w rodzinie, równy głos w rodzinnym dyskursie. Ale wnioski precyzuje autor trafnie – podzielam uwagę o „fenomenie autostopu” w gomułkowsko-gierkowskiej Polsce. Z ważnym jed-

nak uzupełnieniem – hipisi byli tu tylko mniejszą jego częścią, dominowała po prostu młodzież.

Nieco inaczej natomiast wyglądała sprawa „komun”. Pojęcie źle się kojarzące do dzisiaj, pejoratywne, ale obecne także w środowisku polskich hipis, jednakże bez przesady – pojedyncze raczej przykłady. Mam wątpliwość czy usytuowanie tu Bieszczad (Bieszczadów – odwieczny spór) – „ucieczki [czy] zagubienia bieszczadzkiego” jest w pełni uprawnione. Bieszczady, a tam się urodziłem i spędziłem dwie dziesiątki lat, to zupełnie inne zjawisko, choć wykorzystywane też przez hipis. Cezurą jest tu zapewne film *Chudy i inni* („graliśmy” w nim z bratem i kolegami jako tzw. „i inni”) oraz budowa pierwszej zapory w Myczkowcach, dziś raczej ścieku niż atrakcji turystycznej. Myczkowce z czasem zastąpiła Solina – obie budowy to niezwykła cezura cywilizacyjna dla Bieszczadów, które tu do tego momentu, zazwyczaj pamiętano niemal wyłącznie jako teren „walk z bandami UPA” i oczywiście *Ogniomistrzem Kaleniem*, że o generale „co kulom się nie kłaniał”, nie wspomnę. Bieszczady, w rzeczywistości też, jako pierwsi, zaczęli „zajmować” harcerze i wojsko – „Marsze Walterowskie”, później nieco harcerska akcja „Bieszczady’40”. Dlatego zjawisko pt. „Bieszczady” jest daleko bardziej skomplikowane niż to czyni autor, także, jak sądzę, w kontekście polskich hipis.

W rozdziale V, autor poddał analizie problem „polityki, Kościoła i obyczajowości”. Najbardziej chyba interesująca informacja – Ryszard Terlecki, wcześniej „lewicowiec”, w tym rozdziale okazuje się, że też był ZMS-owcem? To rzeczywiście interesujący przyczynek do biografii, ale na pewno nie zaskakujący – uczeń VIII LO w Krakowie, Ryszard Terlecki został, wraz z całą klasą, zapewne zbiorowo i „z entuzjazmem” zapisany/przyjęty do ZMS, jak wielu z nas, ówczesnych uczniów różnych typów szkół – przykładowych, zawodówek, techników, wreszcie liceów. To typowość zjawiska, którego część historyków dziejów PRL, a i wielu PRL-owskich kombatanów, a raczej pseudokombatanów nie rozumie, bądź nie chce rozumieć. To hipisowskie kombatanctwo autor rozprawy zauważa i stara się je rzetelnie przeanalizować. Zapewne także dlatego, że to pokolenie, dzisiejszych sześćdziesięcioparolatków, bądź siedemdziesięciolatków, tu i ówdzie jest aktywne, obecne, czasem VIP-owskie i to niekoniecznie w zgodzie z tamtym, hipisowskim czasem, ówczesnymi nadziejami i marzeniami, wyobrażeniami. Historia ma to do siebie, że nie ma w niej przerw, a tylko ciągłość i zmiana, choć niektórzy bardzo by chcieli, aby „czarne dziury” czy „przerwy w historii” zaistniały/istniały (*vide*: wypowiedź Jarosława Kaczyńskiego, że PRL była „czarną dziurą w dziejach Polski”). Biografia jednak to taka kategoria poznania historycznego, że obejmuje zazwyczaj całość, a nie tylko wyimek osobistych dziejów („trajektoria biograficzna”, jak sugerują socjologowie). Dlatego bywa tak trudnym obszarem badań, niekiedy



wręcz niebezpiecznym (*vide*: biografie Lecha Wałęsy, śp. Lecha Kaczyńskiego, płk. Kuklińskiego czy np. „Ognia” i wielu, wielu innych). Biografia R. Terleckiego, innych polskich hipisów mieści się również w tym trudnym przedziale faktografii i interpretacji, wreszcie pamięci – także samych bohaterów czy antybohaterów historycznej narracji, opowieści, rozprawy naukowej czy wspomnienia.

Tu na marginesie, autor trafnie ten metodologiczny w istocie problem rozpoznaje, trafnie analizuje, właśnie uwzględniając ciągłość i zmianę w procesie historycznym (obok czasu i przestrzeni). Choć jedynie w zakończeniu go sygnalizuje, bez szczególnego wyjaśniania „procesu przemian i przewartościowań”. Dlaczego? Polscy hipis, to przecież raczej widoczne zjawisko w gomułkowskim i wczesnogierkowskim pejzażu PRL-u, będący „w obiegu”, niekiedy nadal aktywni, o wielu zapomniano, wielu nie chce się do tego przyznawać, np. inaczej niż pokolenie Marca`68. To ciekawe zjawiska, ciekawe środowisko i wówczas, ale i teraz, interesujące postawy, wybory i... zapomnienia. Mniej lub bardziej świadome. Ciekawe biografie, a przecież biografia, to – powtórzę – ważna kategoria poznania i wyjaśniania procesu historycznego. Zjawisko warte szerszej refleksji, namysłu.

Podobnie, jak i Kościół tamtego czasu, soborowo/posoborowy. Tu autor raczej nie wnosi za wiele, i powierzchownie dotyka zagadnień. Ale kontekst, zauważony przez autora, wydaje się ważny i potrzebny w tej monografii. Przecież sporo się działo, nie tylko na kościelnych szczytach, ale też i w kościele parafialnym czy klasztornym, także powiatowym – msze bitowe, zmiany i przeobrażenia niektórych duchownych (w konflikcie z proboszczami tradycji, strażnikami ludowego katolicyzmu, preferowanego i to zdecydowanie przez „Prymasa Tysiąclecia” kardynała Stefana Wyszyńskiego). Ten inny Kościół, na niektórych mszach (niedzielna „dziewiątka” zazwyczaj), to też w jakimś stopniu zasługa polskich hipis, ale przede wszystkim zasługa młodych księży. Tylko niektórzy hipisi w nich uczestniczyli. Konsekwencją była jednak często konfliktogenność – np. w rodzinie („nie pójdziesz na tę mszę z wrzaskami *ye, ye, ye*, a nie prawdziwą modlitwą” – autentyczne, źródłowe, zapamiętane). Dlatego nie za bardzo podzielam uwagę autorską o przypadkach „hipisów chrześcijańskich”, co mi przypomina raczej pojęcie „demokracji socjalistycznej” – albo istnieje i jest praktykowana demokracja po prostu, albo nie i żadne przymiotniki tego nie udoskonalą, nie uzdrowią. Tak samo z chrześcijaństwem/katolicyzmem – albo jest albo go po prostu nie ma. Zatem „hipis chrześcijański” – to brzmi raczej tragikomicznie, niż poważnie.

Jednakże w tej analizie autor, już po raz kolejny, pomija wieś, ważny przecież składnik PRL-owskiej codzienności, także transferu społecznego. Już nie takiego – powtórzę – jak w okresie stalinowskiego planu 6-letniego, ale nadal

chyba ważnego i istotnego. Religijność ludowa, której tak sprzyjał wspomniany prymas Stefan Wyszyński, zderzała się tu z tym „nowym”, które przecież nie przychodziło „od góry”, „od partii” czy ZMS – przychodziło z Watykanu. Czy uczestnicy tych mszy, także polscy hipis rozumieci te zjawiska, zauważali je? Może refleksja na ten temat sporo by wyjaśniła w kwestii socjo- i psychohistorii, także kontekstu religijności polskich hipis? Gdzieś bowiem za tym wszystkim postępowała, co słusznie zauważa autor, autentyczna, choć niepełna, raczej rewolta moim zdaniem, a nie jak chce autor „rewolucja seksualna” i „przemiany obyczajowe”. Zmiany kulturowe, to przede wszystkim praktyka, ale i lektura (*Kamasutra* np.), a przede wszystkim „opowieści” – podwórkowo-szkolno-klubowe. Także akademikowo-internatowe, internat bowiem dla wiejskiej młodzieży był i domem i przekleństwem zarazem. I także w pewnym sensie narracje filmowe. To zagadnienie też by wymagało szerszej nieco analizy, antropologicznej, socjologicznej, a nawet psychologicznej (psychologia rozwoju).

Rozdział zatem interesujący (problematyka), ale z dominantą jednak opisu nad analizą, bardziej przeglądowo-faktograficzny (imponuje). Zabrakło mi tylko solidniejszej refleksji sumującej.

W rozdziale kolejnym (VI), gdy mowa „o narkotykach” czy „działaniach narkotycznych” pamięć tamtego czasu podpowiada mi: jakie narkotyki, gdzie, kto, jak? Na dodatek w małym powiatowym, zapyziałym miasteczku? Często nie rozumiano tam tego pojęcia. Dopełnieniem są inne jeszcze pojęcia: „środki odurzające”, „mała narkomania”. To trochę, z metodologicznego punktu widzenia, zamieszanie. Trudno by chyba było udowodnić tezę o narkotykach w PRL, jako zjawisku. Owszem, morfina w szpitalach, aptekach i morfiniści (tu i ówdzie, czasem lekarz, farmaceuta – ale nie zjawisko). Dlatego – precyzyjniej – chodzi o środki odurzające, z najbardziej wtedy chyba rozpowszechnionym wybielaczem/płukaczem „Tri”. Pytanie: w moim bieszczadzkiem domu, w tym czasie, co tydzień, po praniu płukaliśmy rodzinnie w „Tri” całe wyposażenie zakładu fryzjerskiego ojca – odurzałem się, narkotyzowałem? „Otarłem” się o narkotyki? Pamiętam oczywiście: bóle głowy, zawroty, obligatoryjne wietrzenie pomieszczeń itd. Ale narkotyzowanie się? To było legalne przecież, domowe, konieczne, bo białe fryzjerskie prześcieradła czy ręczniki, naprawdę robiły się białe i eleganckie, jak nie przymierzając po dzisiejszych proszkach i wybielaczach, choć truły. Rzecz jasna, też spotykałem kolegów „wączających” – ale mam jednak wątpliwość, czy to istotnie *iunctim* z pojęciem „narkotyzujących się”.

I środki, jak je nazywa autor, „kultowe” – tu zawierzyłbym MO i SB, a także purytańskiej, akurat w tych kwestiach, PZPR. Czarny rynek – to sprawa mikro w tym czasie, nie przeceniałbym jego roli – milicja, mimo wszystko w tej

akurat materii „była dzielna i z sukcesami”. Tym bardziej, że miała tu solidne wsparcie agentury, a także i powszechnych raczej postaw „na nie” zdecydowanej większości społeczeństwa. Dla jednych była to, co prawda, „zgnilizna Zachodu”, ale dla wielu autentyczny strach o młodych. Alkohol i papierosy znacznie, znacznie bardziej niszczyły i zabijały niż „Tri”, „Ixi” itp. „narkotyki”. Autor dotyka tu też problemu śmierci, ważnej konsekwencji, ale na pewno nie masowej, szczególnie gdy kontekstem porównawczym stać by się miały np. Stany Zjednoczone, gdzie przede wszystkim cezura Wietnamu stała się zasadniczym przełomem „w narkotykach”. Dlatego podzielam jednoznacznie tezę autora: „Twierdzenie, że narkotyki były wyłącznie domeną hipisów jest uproszczeniem”. „Odurzacze” – przepraszam za kolejny neologizm językowy, to nie tylko polscy hipis, to także część młodzieży niekoniecznie związana z hipis. Ale dla samego zjawiska nie lekceważyłbym cezury – to początki oczywiście, eksperymenty, chałupnictwo. Jego konsekwencją były kroki następne, aż do poważnego, dzisiejszego zjawiska pt. narkotyki, narkobiznes, śmierć z przedawkowania itd.

Zaskakuje *in plus* bardzo solidne, nietypowe raczej w dysertacji, podsumowanie tego rozdziału, w dobrym galicyjskim stylu.

Partia, „socjalistyczna moralność” a hipisi, szerzej młodzież PRL-u, to ważne spostrzeżenia z rozdziału VII. Poprawna, solidna analiza sporej dokumentacji „nadawcy”, czyli struktur partyjnych, zaplecza młodzieżowego PZPR, wspartych oczywiście „ramieniem” MO i SB. Autor zebrał tu sporą podstawę źródłową, dobrze nad nią panuje, dobrze rozumie zjawisko i sam proces. To przecież ważna część pracy, co zasygnalizował już w tytule monografii. Zapomina tylko o znamiennej wewnętrznej cezurze Grudnia 1970 (koniec Gomułki, „gomułkowszczyzny”), ale przecież nie końcu socjalizmu. Jednak dobra analiza merytoryczna. Zabrakło mi tylko pytania autorskiego: czy diagnoza partyjna wobec hipisów, merytorycznie, nie była przypadkiem w części trafna? Pomijając oczywiście brutalizm języka, dychotomię relacji i sam „stan” socjalizmu? Konsekwencją przecież były procesy, których partia nie zauważała, bądź nie chciała zauważać. Bo problem zasadniczy można zdefiniować następująco: proste recepty onnipotentnej partii/państwa *contra* postawy, zachowania, nastroje czy wybory w środowisku polskich hipis. Z jednej strony hipokryzja „nadawcy”, ale też i pytanie: w jakim stopniu środowisko polskich hipisów rozumiało ten język, interesowało się tym, reagowało, zatem czy przypadkiem problem ten nie ma cech sztuczności? Fakt – hipisi to był łatwy wróg – partii, młodzieży w ogóle, obyczajowości, społeczeństwa. Zauważalny, nie broniony przez nikogo, poza samymi hipisami, potępiany dość powszechnie przez zdecydowaną większość społeczeństwa. To polski (obozu sowieckiego) wyróżnik, konsekwencja zamknięcia „do wewnątrz” i „na zewnątrz” PRL przed zachod-

nimi wpływami. Stąd inna jakość procesów wewnętrznych, inne wyróżniki niż np. francuskie czy angielskie, nie wspominając już o amerykańskich. Autor zwraca na to uwagę (s. 326 i n.), ale – moim zdaniem – trochę nazbyt powierzchownie. A różnice były i to znamienne. Z jednej strony PZPR nie chciała, nie potrafiła, nawet nie zamierzała przeanalizować solidnie zjawiska, które się „urodziło”, było widoczne (kolor, włosy, stroje itd.), ale wymyśliła, jak zazwyczaj, dość proste recepty – wróg/wrogość hipis i łatwo uzyskiwała sukces – poza typową pracą policji politycznej (np. agentura), dysponowała bowiem, i je wykorzystywała, dość obszernym społecznym zapleczem/postawą – „nie dla hipis”. To dlatego środowisko hipis musiało się z tym jakoś liczyć, reagować, w konsekwencji zniechęcać. I przegrywało. Najprawdopodobniej, pomijając problem dorastania hipis do dorosłości (rodzina, dzieci, obowiązki) – to zjawisko braku społecznej akceptacji też było powodem/przyczyną jego efemeryczności. I właściwie następstw – niemal nic poza kolorowymi obrazkami różnobarwnych, długowłosych młodych ludzi nie pozostało – na dodatek klisza pamięci jest też stale „czyszczona” poprzez późniejsze biografie/los, przynależności, wybory polityczno-partyjne, ideowe czy ideologiczne. Często, w następstwie, świadome tuszowanie. Po wydarzeniach Marca ’68 na pewno pozostało znacznie, znacznie więcej (równoważnik pokoleniowy) niż po zjawisku polskiego hipis. Szersza refleksja też tu byłaby bardziej wskazana, choć autor nie lekceważy tego zagadnienia/pytania.

Przykład krakowski: odwołuję się znów do jednego nazwiska, ale przecież ważnego, nie kwestionowanego – student historii, hipis o pseudonimie „Pies”, z bardzo dobrym intelektualnym zapleczem domowym (literatura, znany pisarz-ojciec) jakoś nigdy nie postarał się innym kolegom zorganizować, np. w ramach uniwersyteckiego Koła Naukowego Historyków, ciekawego spotkania o trudnych problemach najnowszej historii, o jej kontrowersjach, literaturze emigracyjnej – wolał kontestowanie na stopniach pomnika Adama Mickiewicza. Dlaczego? A jego koledzy musieli wypraszać w Bibliotece Jagiellońskiej zgodę na tzw. Resy (RES) – czyli książki zakazane przez cenzurę. I nie zawsze tę zgodę otrzymywali. To w postawie R. Terleckiego z tamtego czasu – niemoc, lekceważenie, niezrozumienie, czy tylko egoizm? Przecież jako taki np. „nauczyciel” kolegów dałby im znacznie, znacznie więcej, niż kontestacja, nawet w najszlachetniejszych porywach na stopniach pomnika poety, który, przypomnę „trafił pod strzechy”. Student Terlecki i hipis Terlecki nie wykorzystali tej szansy. Dlaczego? Dlaczego tak się działo? Skąd taka postawa? Uważam, że to sensowne pytania do jednej z najważniejszych postaci środowiska polskich hipis. Przecież konsekwencją takiej właśnie postawy był łatwy społeczny, nie tylko partyjno-milicyjny osąd: pasożytnictwo i demoralizacja, polscy hipis to bezwartościowa magma, bez idei. Autor trafnie uchwycił zjawisko, ale kilku

ważnych, osobowo-biograficznych pytań nie zadaje. Nie zadał ich też wspomnianemu interlokutorowi, z którym przecież przeprowadzał wywiad – dziś ważnej postaci ważnej partii i ważnego ruchu, postawy, wyboru i strategii postępowania. Dlaczego? Myślę, że to istotne pytania dla historyka dziejów społecznych PRL. I historyk powinien takie pytania stawiać, wszak ma jedyną często szansę stworzenia nowego źródła historycznego (*oral history*). A ówczesny „Pies”, dziś historyk przecież wytrawny dziejów najnowszych powinien tę opcję/szansę *oral history* rozumieć, zaakceptować, a nawet rozwinąć. Z pożytkiem dla nauki historycznej.

W rozdziale VIII interesujący przegląd „formacji mundurowych i instytucji represyjnych” wobec polskich hipis. Tekst przede wszystkim przeglądowy, ale oparty na bardzo solidnej podstawie źródłowej. Autor podkreśla typowość działań, poprawnie posługuje się ówczesnym aparatem pojęciowym/propagandowym, mówi rzetelnie o „taktyce zwalczania” (ten „bitewny” język narracji nadawcy to też trafnie zauważona prawidłowość/typowość) i „o technikach” (inwigilacja, prewencja – język milicyjno-bezpieczniacki). „Wzornikiem” tej analizy są Katowice (KW MO/SB w Katowicach) – solidne omówienie zachowanego zespołu archiwalnego. Ale też zabrakło mi dogłębnego podsumowania rozdziału.

Podobnie, jak i w rozdziale ostatnim, IX – rodzaju finału akcji partii/państwa i jej służb przeciwko polskim hipisom (akcja „Porządek” i operacja „Mak”). To też typowość w postawie partii/państwa. Jedynym wyróżnikiem może być zaskoczenie – to już nie epoka „towarzysza Wiesława”, a nowoczesnego podobno i światowego – jak to niekiedy oceniano w oficjalnej propagandzie – Edwarda Gierka. Ale gdy spojrzeć, że w najbliższym otoczeniu znalazł się stalinista Franciszek Szlachcic (także inni), to już nic dziwić nie powinno. Autor nie wyjaśnia, dlaczego partia wybrała ten właśnie moment rozprawy z hipisami. Teza, że hipisów wrzucono do jednego worka „zjawisk bandytyzmu, chuliganstwa, rozbojów, bójek i napadów”, to chyba trochę za mało. Ale typowość w postępowaniu, uchwycona zasadnie. I oczywiście uproszczenia – co złe i nie mieszczące się w partyjnym wyobrażeniu „porządku i bezpieczeństwa” to chuliganeria, bandytyzm itd. Wykorzystano w propagandzie to, co pozostało po Gomułce – typową postawę „nie” wobec środowiska hipis zdecydowanej większości społeczeństwa. Nadal nikt tego środowiska nie starał się zrozumieć, nie mówiąc już o obronie. Żadne ze środowisk, żaden w istocie z jego prominentnych przedstawicieli, tak jak to będzie miało miejsce już niedługo – w KOR-ze czy w ruchu Solidarność (obrona strajkujących robotników). Dlaczego? Hipisi, istotna i widoczna cezura w dziejach polskich subkultur, aktywności innej niż oczekiwana przez partię/państwo, jakoś nie zasłużyli na taką postawę i obronę, nawet w wymiarze mikro? Dlaczego? To kolejne pytanie do autora, pytanie,

którego materiałowi źródłowemu nie zadał. Omawiając bowiem „załamanie się ruchu” – można je było postawić, nawet jako wskazanie na pole kolejnych badań. Historyk nie tylko wyjaśnia przecież proces historyczny, ale formułuje też kwestionariusz nowych pytań badawczych, wskazuje kolejne pola badawcze. Jednym z nich powinno być pytanie, które postawiłem wcześniej. Jako recenzent – dyskutant. Autor odwołuje się tu tylko do pewnej powierzchowności – np. J. Pyrza („ożenił się, miał dziecko”). A inni?

Cezura końca zjawiska pt. polski hipis, 1975 – zasadna.

Zakończenie dysertacji obszerne, solidne (s. 505–519). Przekonuje mnie sentencja: „Polscy hipisi byli **imitatorami** [podkr. – J. Ch.] poglądów i stylu charakterystycznego dla amerykańskich i zachodnioeuropejskich ruchów kontestacyjnych i grup subkulturowych drugiej połowy lat sześćdziesiątych”. Podobnie jak autor, uważam, że to istota zjawiska. Autorowi udało się, z przekonaniem, utrzymać tę tezę, którą uważam w tym świetnym opracowaniu za udowodnioną. Niekiedy go ponosi, to zrozumiałe, podobnie, jak zapewne i recenzenta z tego właśnie pokolenia, ale z inną pamięcią niż autor. Choć sporo recenzent „dyskutował”, a nie tylko oceniał w tej pracy. To znamię czegoś ważnego w rozprawie naukowej, wciągającego nie tylko emocjonalnie, pokoleniowo, ale i merytorycznie, warsztatowo.

Świetna i warta osobnej refleksji dokumentacja ikonograficzna – sporo przypomina, jak sądzę nie tylko recenzentowi. Imponująca kwerenda archiwalna. Świetna praca, wartościowa źródłowo, warsztatowo i erudycyjnie, a dyskusja z autorem o tym czym solidnie się w rozprawie zajął – sama przyjemność.